

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

Choćby nawet miał się na mnie naprawdę pogniwać ów pan z Piotrkowa, który onegdaj narażał mi za moje kroniki, muszę znów zacząć od pogody, a myślę, że przyzna mi rację każdy, kto wie, jakie znaczenie dla całej ludzkości ma dzień 8. czerwca, na który przypadają imieniny św. Medarda.

Według zgodnej opinii naszych domorostych meteorologów, mających swoje obserwatoria w handlach Wentzla i Hawelki, należy się spodziewać w razie, gdy w tym dniu padał deszcz, czterdziestu dni niepogody, jak zaś inni twierdzą, czterdziestu jedynie deszczów, które mogą zupełnie spokojnie wykapać, choćby nawet w tygodniu.

Ponieważ zaś święty Medard obdarzył nas nie tylko deszczem, ale nawet prawdziwą burzą z grzmotami i piorunami, zrzęda ogromnie mina wszystkich wycieczkowców i festynowiczów obojga płci. Roili oni (i ja między nimi) najpiękniejsze nadzieje na niedzielę, następującą po dniu św. Medarda, tymczasem sobotni deszcz równał się owym biblijnym słowom: *Mane, Tekel, Fares*, co podobno znaczy na polskie: kup sobie parasol i kalosze, albo siedź w domu.

Wytłumaczono sobie jednak bardzo prędko, że św. Medard nie ponosi tutaj absolutnie żadnej winy, deszcz padał bowiem dopiero wieczór, a chmurę przypędził jakiś złośliwy wiatr. Wobec tego niema się czego obawiać, ale w niedzielę rano z pełnym spokojem, nawet bez parasola, można się wybrać, czy to na wycieczkę kolejarzką do Tenczynka, czy też na zabawę leśną, urządzoną staraniem drukarskiej braci na Bielanych, kędy tańce miał prowadzić znany nasz wodzirej, pan Paweł.

Kronikarska dola złączona jest ściśle z drukarzami, wobec tego na naradzie rodzinnej postanowiliśmy wybrać się na Bielany, zwłaszcza, że to i bliżej i wygodniej się tam dostać, zapowiedziano bowiem, że przez cały dzień będą kursować tam i napowrót po naszej uroczej Wisłce pancerniki najrozmaitszego typu.

Intendantura domowa przygotowała już wcześniej odpowiednią ilość pokarmów stałych i płynnych, żona i córki zaopatrzyły się w kostiumy wycieczkowe i modne kapelusze, z których każdy w razie potrzeby mógłby zastąpić parasol dla rodziny, składającej się nawet z kilkunastu osób.

W niedzielę rano pogoda wspaniała, otucha wstępuje w serce całej rodziny.

Magnifika i córki, zaledwie rano otworzyły oczy, już były przy oknach i badały skrupulatnie zachmurzenie niebios.

— A co! Nie mówiłam, że będzie pogoda?... Ani jednej chmurki! — Dzieci zbierajcie się!... — rozległ się basowy głos pani domu. — Zawracałeś mi niepotrzebnie głowę swym Medardem, teraz widzisz, co warte twoje przepowiednie!

— Cierpliwości aniołeczku! — odparłem skromnie, gdyż z zasady nie lubię się sprzeciwiać szanownej połowicy, która, choć rodem z północnej części Krakowa, odznacza się przecież bardzo ognistym temperamentem. — Cierpliwości!... Do wieczora jeszcze daleko! Medard nie zawodzi nigdy!... — Wierz mu! On taki sam mężczyzna, jak każdy inny!...

Ponieważ najwyższa władza domowa tak postanowiła, od wyroku jej nie było apelacji. Całą karawaną, za którą postępowała pocziwa Kasia, nasza pokojówka i kucharka w jednej osobie, dziś odgrywająca rolę jucznego wielbłąda, podążyliśmy nad Wisłę.

Niestety, tutaj doznaliśmy pierwszego rozczarowania. Statki na Bielany nie kursują z powodu bardzo niskiego stanu wody, być może, że zaprowadzi się regularną komunikację nimi, ale dopiero od klasztoru Zwierzynieckiego.

Podążyliśmy na wskazane miejsce.

Choć dopiero dziesiąta rano, promienie słoneczne prąży nie do wytrzymania, rozpiływamy się po prostu w potach... W duchu zazdroszczę praojcu naszemu, Adamowi, który używał ongiś w raj daleko lżejszych, niż obecne, kostiumów, cierpienia swoje

ofiaruję jednak jako pokutę za grzechy już popełnione i w przyszłości popełnić się mające...

Za mną podąża reszta towarzystwa, w najbliższym zaś oddaleniu połowica, sapiąc z gorąca, jak miech kowalski. Oglądam się też co chwila poza siebie z trwogą, sądząc, że to może nadzieжда automobil, a jak wiadomo, samochody były w ostatnich czasach przyczyną kilku wypadków, więc trzeba się mieć przed nimi na baczności.

Dochodzimy wreszcie pod klasztor i tutaj dowiadujemy się, że statkami nie pojedziemy, bo ich niema, trzeba postarać się o furkę chłopską i trząść swe kości po wyboistym gościńcu.

Do jakiegóż jednak poświęcenia nie jest człowiek zdolny, zwłaszcza, jeśli rozchodzi się o sprawienie przyjemności, powiedzmy, w tym wypadku bardzo wątpliwej, swej rodzinie.

Wytargowawszy się należycie, zajmujemy miejsce, ja z woźnicą, dalej żona i córki, każda na osobnym siedzeniu, bo kapelusze przeszkadzają, w tyle Kasia z koszykami i tobołami.

Ledwo ruszyliśmy z miejsca, panie delektują się już czystością i wonią powietrza, ja przeciwnie, twierdziłem i twierdzę, że skutkiem gorąca i kurzu po prostu oddychać nie można.

Wreszcie szczęśliwie znajdujemy się u stóp Bieleńskiej góry, nadzieja odpoczynku w cieniu drzew dodaje człowiekowi nowych sił, spinamy się po pochylności, ja jako człowiek o miękkim sercu pomagam Kasi w niesieniu prowiantów, boć to na wycieczkę rzecz najważniejsza, ale skutkiem tego męczę się i pocę jeszcze bardziej...

Tymczasem jednak horyzont zaczyna się pokrywać chmurami, co odbiera ochotę do zabawy zgromadzonym w dość szczupłej liczbie.

Moja żona jest jednak ciągle w dobrym usposobieniu i twierdzi z uporem, godniejszym lepszej sprawy, że pogoda będzie.

— Naturalnie, jeśli deszczu nie będzie! — przerwam z wściekłością.

— Nie będzie!... Zrywa się wiatr, rozpędzi chmury!

— Tak... albo spędzi nowe...

Koniec końcem zwycięża tradycja Medardowa, otwierają się upusty niebieskie i zaczyna lać, ale to tak, jak z cebra... Pioruny wała, błyskawice rozjaśniają co chwila ciemności, zdaje się, że zbliża się koniec świata, który Opatrzność chce zniszczyć nowym potopem...

Stoimy pod drzewami, kryjąc się po dwie i trzy osoby pod jednym parasolem, musimy jednak ciągle posuwać się wyżej, gdyż strumienie wody szukają sobie coraz to innych dróg... Najlepiej jeszcze wyszła Kasia, gdyż ona bez żenady nakryła się jedną ze spódnic, zdobiących jej bujne kształty i stosunkowo najmniej ucierpiała, inne niewiasty wyglądały jak zmokłe kury... Aż litość brała, patrząc na biedaczki, nie mogące po prostu ruszyć się z miejsca.

W tej krytycznej chwili mnie przynajmniej humor nie odstąpił, choć w gruncie rzeczy w sercu mem rozszalało się całe piekło.

— Cudna pogoda!... — powtarzałem półgłosem. — Rzeczywiście wiatr rozpędził chmury, ale także i wycieczkowców!

— Milcz, przebrzydły człowieku! — zawołała żona z prawdziwą wściekłością. — Jeśli nie przestaniesz, strącę cię z góry!...

— W takim razie będę prędzej na dole!...

Po dwugodzinnym laniu sprzykrzyło się wreszcie i deszczowi, przestał więc padać, a z poza chmury słońce wystawiło jedno oko i poczęło się złośliwie uśmiechać...

Rozpoczęliśmy odwrót ku dołowi po rozmokłej i oślizniętej ziemi, odwrót, który na długo pozostanie mi w pamięci.

Napoleon w ten sposób nie wracał z nad Berezyny, jak my z pod Bieleńskiego klasztoru! Użył człek, nie przymierzając, jak pies w studni!...

Widziałeś gromady zmoczonych mężów i niewiast w strojach, które przylepiły się do grzesznego ciała i utrudniały ruchy, widziałeś elegantów w cylindrach, którzy pod pachą nieśli lakierki, nie chcąc ich narażać na zagładę w kałużach błota... Akompaniament tworzył pisk dzieci, stękania i narzekania...

Gdy wreszcie znaleźliśmy się na dole, rozpoczęła się nowa tragedia, właściwie zaś dalszy ciąg poprzedniej. Bohaterami jej to woźnice i właściciele furek, ofiarami my, wycieczkowcy.

Ponieważ po błocie, sięgającym czasem do kostek, miejscami zaś do kolan, trudno przecież brnąć przeszło milę do Krakowa, trzeba wynaleźć sobie jakiś wehikuł, któryby nas tam dowiozł...

Ale amatorów jazdy jest stanowczo więcej, niż miejsc na furach. W sytuacji orientują się szybko nasi pocziwi kmiotkowie, ceny miejsc idą w górę, za kawałek marnego siedzenia, za który w normal-

nych warunkach płaci się dwie szóstki, dziś trzeba dać dwie korony i więcej...

Lecz czegoż człek nie zrobi, jeśli chodzi o przyjemność, jaką się ma sprawić rodzinie!...

Rozpoczyna się więc licytacja, wyścigi od wozu do wozu, wreszcie na wagę złota zdobywamy wehikuł i wracamy pod swój własny dach żli, zmęczeni, głodni i zmoknięci, zazdroszcząc tym, którzy wierzyli w Medarda i zostali w mieście.

— Żal mi was, to prawda — rzekłem ze stoickim spokojem, patrząc na opłakany wygląd mej rodziny — cieszy mnie jednak, iż przecie stało się tak, jak przepowiedziałem! W dzień Medarda mieliśmy deszcz, a to znak niechybny, że co najmniej do końca miesiąca będziemy mieć niepewną pogodę...

— Głupis z tym swoim Medardem! — zakonkludowała magnifika, zła jak szatan, zwłaszcza, gdy spostrzegła, że już od dawnej rogatki Zwierzynieckiej snują się gromady ciekawych, pragnących oglądać powrót niedobitków...

Oj, a było rzeczywiście co oglądać!... Było się z czego śmiać! Zdaje się, że ś. p. Dante właśnie po takiej wycieczce potrafił tak barwnie skreślić okropności piekielnego życia...

Konstatuję więc z całą stanowczością, że począwszy od uroczystości św. Medarda deszcz codziennie, jak to powiadają wisi w powietrzu, a prawdę rzekłszy, obecnie go już nie potrzeba, chyba tylko do polewania ulic w zastępstwie zakładu czyszczenia miasta, co jest ze względu na higienę wskazanem, wykonywanem zaś bywa dość skrupulatnie w śródmieściu, mniej na przedmieściach, prawie zaś nigdy w gminach przyłączonych. Deszcz przynajmniej nie robi różnic, pada wszędzie z jedną siłą, czy to w bliskości pałacu Larysza, czy też gdzieś dalej, gdzie żaden radca miejski nie ma domu, ani parceli budowlanej.

Pogody zaś potrzebujemy już choćby ze względu na wystawę architektoniczną, której otwarcia, zapowiedzianego na maj, nareszcie przecież doczekaliśmy się w czerwcu, ze względu na spodziewane odwiedziny arcyksięcia Karola Franciszka Józefa i wyścigi, w czasie których będzie można podać rękę szczęściu i wygrać w totalizatora, o ile się naturalnie nie przegra...

Do jednych tylko wyścigów nie potrzeba wcale pogody, a tymi jest tak zwany bieg marszałkowski we Lwowie, do którego przyjmuje mianowania dyrektora Klubu jazdy politycznej panów, mieszcząca się we Lwowie w pałacu namiestnikowskim. Miały to być podobno popisy międzynarodowe, do których chciano dopuścić i demokratów, przekonano się jednak, że nie mają przepisanej wagi, wobec czego musiano odstąpić od projektu.

Z pomiędzy zgłoszonych do biegu zdyskwalifikowano już Dudia Abrahamowicza, Tarnowski i Lubomirski mają mało szans powodzenia, pierwszym, jak się zdaje, będzie hr. Adam Gołuchowski, na którego ostatecznie godzą się i Ukraińcy i Breiter z doktorem Reitzesem.

Gdyby zresztą sytuacja stała się poważną i potrzebna było zabiegu operacyjnego, mamy obecnie świeżych doktorów medycyny (*honoris causa*), między nimi namiestnika Bobrzyńskiego, którzy niewątpliwie dopomogą i to bezinteresownie do rozwiązania sytuacji, o której się powiada, że jest w bardzo poważnym stanie.

Co do braci Ukraińców, to nie ulega najmniejszej kwestii, że oni z każdego marszałka Polaka będą niezadowoleni, sądzą zaś, że najbardziej z hrabiego Gołuchowskiego, ten bowiem nie dosłyszy, nie będzie się więc mógł delektować muzykalnym zespołem obstrukcyjnym, który z nad Półtawy przenosi się obecnie nad Dunaj.

Onegdaj przewieziono przez Kraków cały wagon instrumentów muzycznych i nut dla wiedeńskiego klubu ukraińskiego, który na najbliższy czas zapowiada festival narodowo obstrukcyjnej muzyki ku zmartwieniu ministra Heinolda, a ucieśze Wiedeńczyków.

Podnoszą się głosy, aby na ten okres oddać przewodnictwo w austriackim parlamencie hr. Tiszy, a kierownictwo administracji Csuwajowi, obeszłoby się w takim razie bez § 14., który wisi już w powietrzu...

Kapelusze

SŁOMKOWE, PANAMSKIE

i FILCOWE.

NAJNOWSZE FASONY

w wielkim wyborze poleca

B. WIERZEJSKI Kraków, Linia A-B, róg ul. Floryańskiej.

Dostawca Związku lekarzy i ekonom. urzędników państw. Telefon 368.